



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



O ZACHODZIE SŁOŃCA.

Ostatnim już promieniem słońce żegna ziemię,
Purpurą się oblekło niebo na zachodzie.
I blaskami rubinów przegląda się w wodzie;
Wśród krzewów i zarośli schodzą nocy cienie.

Chmurki rąbkim złocistym wkoło otulone,
To się skupią, to znowu rozpierzchną po niebie,
Kryć się zdają wzajemnie, to znów szukać siebie.
I z wiatrem wszystkie lecą w jedną nieba stronę.

A w ciszy uroczystej, co spowiła ziemię,
Myśl patrzących wlatuje w krainy świetlane,
I otulona rąbkim nadziei i wiary

Ochotnie zrzuca z siebie prochu ziemi brzemie
Szląc Stwórcy hymn podzięk za łaski doznane,
Za wszechświata harmonję, za przyrody czary.

M. D.

STOS GALWANICZNY Z CYTRYNY.

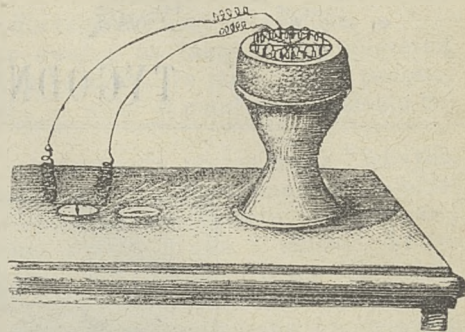
Doświadczenia elektryczne bardzo nas zaciekawiają i każdy zapewne radby je sam wykonywać. Jeżeli idzie o doświadczenia z elektrycznością statyczną, to bardzo dogodnie służyć może elektrofor, który łatwo samemu sobie zrobić, jak to zapewne wielu czytelnikom naszym wiadomo. Kto wszakże powtórzyć chce doświadczenia, odnoszące się do elektryczności dynamicznej czyli galwanizmu, napotka trudność większą, trzeba bowiem posiadać stos elektryczny, którego budowa wymaga kwasów i innych przetworów chemicznych. Opisemy więc tu stos, który każdy czytelnik łatwo zbudować sobie potrafi, gotowego bowiem naczynia wraz z kwasem dostarczy nam cytryna.

W tym celu odcinamy od jednego z końców trzecią część cytryny, tak by pozostały dwie trzecie jej części. Następnie, przez zagłębianie noża w każdy z oddzielnych jej przedziałów, niszczymy drobne włókna wewnętrzne, bacząc, by nie naruszyć przegród, oddzielających te komórki. Aby dać cytrynie naszej podpórę, osadzamy ją w kieliszku, lub w innem naczyniu. Każdy przedział stanowić będzie oddzielne ogniwo czyli element stosu, ale do uzupełnienia ogniwa potrzeba jeszcze metali. Posłużą nam do tego płytki miedziane i cynkowe, wysokości około 4 centymetrów; w braku płytek miedzianych wystarczą i kawałki grubego drutu miedzianego podobnej długości; blachę zaś cynkową łatwo otrzymać można, jest to bowiem metal na pokrycie dachów używany. W każdym przedziale cytryny osadzamy płytkę miedzianą i cynkową tak, aby się wzajemnie nie stykały; końce zaś ich, wystające na zewnątrz, łączymy cienkim drutem miedzianym w ten sposób, by cynk przedziału jednego związany był z miedzią przedziału sąsiedniego. Pozostają tedy dwie płytki swobodne, które będą biegunami stosu. a mianowicie: cynk biegunem ujemnym, miedź zaś biegunem dodatnim.

Będzie to więc stos złożony z tylu ogniw, ile jest przedziałów w cytrynie; działanie zaś jego tłumaczy się łatwo, w istocie bowiem rzeczy jest on tylko zmienioną formą pierwotnego stosu Volty, w którym kwas siarczany zastąpiony został przez kwas cytrynowy, zawarty w soku cytryny. Kwas

ten działa na cynk, który się utlenia, wydzielony zaś wodór osiada na miedzi, a działanie to chemiczne jest źródłem siły elektrowzbudzającej.

Do biegunów stosu przyczepiamy teraz druty miedziane, a gdy zetkniemy ich końce, czyli zamknijemy stos, otrzymamy obieg prądu elektrycznego, który wystarczy do powtórzenia zasadniczych doświadczeń galwanicznych. Jeżeli tedy drut umieścimy po nad zwykłym kompasem, lub w ogólności po nad igielką magnesową, która swobodnie obracać się może, igielka ta zboczy ze swego położenia, to jest w kierunku północno-południowego, jaki zawsze zajmuje. Jeżeli końce obu drutów połączymy drucikiem bardzo cienkim, rozgrzeje się on dosyć silnie, a jeżeli w ciemności rozsuniemy zetknięte końce drutów, dostrzeżemy słabą isierkę galwaniczną. Jeżeli końce obu drutów wprowadzimy do naszej jamy ustnej tak, aby jeden z nich dotykał powierzchni dolnej, drugi zaś powierzchni górnej języka, doznamy wrażenia smaku kwaśnego, świadczącego, że pod wpływem prądu następuje rozkład chemiczny; uczucie to smaku będzie zwłaszcza silne, jeżeli na powierzchni języka złożymy poprzednio drobną ilość soli kuchennej. Prąd ten wystarczy może nawet do rozkładu wody.



Stos galwaniczny z cytryny.

St. K.

W pustyniach Australii.

PRZEZ

Władysława Umińskiego.

(Dalszy ciąg).

Dnia 15-go, o 4-ej popołudniu. po krótkiej drzemce w cieniu, rzucanym przez konie i wielbłądy, karawana ruszyła w drogę cokolwiek rażniej, aniżeli zwykle. Dostrzegano bowiem oddawna na horyzoncie ciemną linię roślinności, która zapowiadała zmianę w krajobrazie, tak pożądaną od kilku dni.

Z odległości nie można było wprawdzie rozpoznać nawet przez lunetę, z jakich drzew składały się owe zarośla; podróżni nasi mieli jednak nadzieję, że dostaną się do jakiejś oazy, gdzie oprócz wody świeżej znajdą może trochę cienia i to do dawało im energii. Popędzono więc wierzchowce, aby czemprędzej dotrzeć do owego miejsca.

Dugan nie odrywał prawie oczu od szkieł swej perspektywy. Towarzysze jego, ciekawi rezultatu spostrzeżeń, rzucali mu co chwila zapytania.

— No i cóż, kochany wuju? — zagadnął Jerzy. — Las, czy tylko brzegi jakiej rzeki, porośnię krzakami?

— Nie, to nie rzeka — odparł podróżnik; — zielona linja nigdzie się nie przerywa; prawdopodobnie zbliżamy się do obszernego, akacyowego lasu, który zajmuje cały horyzont.

— To doskonale! — zawołał chłopiec — przypuszczam że chętnie zjedlibyście pieczeń z wombata, albo kangura, bo pekelfajsz dał się już wam we znaki, nieprawdaż moi panowie? Cierpliwości więc do wieczora i ostrzyć zęby tymczasem!

W pół godziny potem karawana zbliżyła się o kilka

jeszcze kilometrów do owej ciemnej linii, majaczącej na widnokręgu tak, iż przez dobrą perspektywę można ją było obserwować dość dokładnie.

— Czy widzisz teraz, wuju? — zapytał niecierpliwy chłopiec.

Dugan nie odpowiedział; na jego twarzy malowało się niezadowolenie.

— Ias, wuju? — powtórzył Jerzy.

— Podróżnik machnął niecierpliwie ręką i odjął od oczu lunetę.

— Skrub, przekłety skrub! — zawołał.

Na brzmienie tego wyrazu Tom, Bob i Abel ściągnęli cugle swym wierzchowcom i zatrzymali się jak wryci w milczeniu.

— Skrub? Więc cóż? — rzekł Halm, zbliżając się ze swym wielbłądem.

— Więc cóż? — powtórzył Dugan ze złością. — Zobaczysz pan wkrótce, co to jest skrub i zaręczam, że popamiętasz go przez całe życie.

Rzekłszy to, podróżnik puścił się galopem naprzód; towarzysze podążyli za nim. Wszyscy pragnęli, jak najprędzej przyjrzeć się zbliżającemu straszniemu skrubowi.

Niewyraźna z początku linia rozszerzała się w szaro zieloną smugę, która grubiała, rosła w prawo i w lewo, obejmując widnokrąg. Niebawem doktor ujrzał przed sobą mur zbitego gąszczu, złożonego z niewielkich, splełanych drzewek. Żywa ta zaporą ciągnęła się w dal nieskończoną, bez najmniejszej przerwy, granicząc z piaszczystymi dunami kapryśnie powyginaną linią.

— Więc to jest ów skrub, o którym tyle słyszałem? — mruknął doktor.

— Tak panie; ta wątpa na pozór przeszkoda zdołała powstrzymać dzielnego Leichhardta i energicznego Burkego, upartego Gilesa i wielu innych podróżników. Jest to płot nieprzebyty, poza którym Australia ukrywa zazdrośnie swe tajemnice.

— Czyż niema sposobu utorowania sobie drogi w tym gąszczu.

Dugan wzruszył ramionami.

— Niema, panie, odparr.

— A ogień?

— Malley skrub nie obawia się go wcale.

— No, to mamy siekiery — wtrącił Jerzy.

— Stań na grzbiecie wielbłąda, a przekonasz się co warta twoja rada. Czy wiesz, jak daleko ciągnie się skrub?

— Zapewne na parę mil.

— A któż ci zaręczy, że nie na sto, albo nawet na dwieście?

— Cóż więc zrobimy? — zagadnął Abel.

— Nic; ustąpimy i będziemy się starali obejść zarośla.

— A jeżeli skrub ciągnie się na kilkadziesiąt mil?

— Ha, zobaczmy! — odparr Dugan, zamyślony. — No, Mongora naprzód! — dodał zwracając się do przewodnika.

X.

WALKA Z PRZYRODĄ.

Zniechęcenie, graniczące z rozpaczą opanowało wszystkich, nawet obojętnego Halma. Tom i Bob, na rozkaz: w drogę! nie ruszyli się ze swych kolder. Abel i Jerzy zaś obrzucili pełnym nienawiści wzrokiem to nieskończone morze straszego scrubu, które otaczało ich ze wszech stron od ośmiu dni.

— W drogę! — powtórzył Dugan.

Ah, tak! I znów wlec się brzgiem tych przeklętych zarośli przez cały dzień, po to, żeby nad wieczorem, tak jak przedtem, ujrzeć przed sobą nieprzebyty mur. Znów drzeć na siodle pod palącymi promieniami słońca i tonąć w tej ponurej, martwej ciszy, co rozsiadła się na wieki ponad scrubem. Czyż nie lepiej byłoby rzucić się z siekierą na to

zielsko i przerywać sobie w niem ścieżkę, choćby z największym móżolem? Można by przynajmniej wyrzucić zemstę za wszystkie znoje, za trzysta kilometrów zmarnowanych, za tydzień daremnych oczekiwań, za gryzącą niecierpliwość, za te okropne uczucia, jakimi napełniała serce ta rozpaczliwa jednostajność.

Ale Dugan jest nieubłagany. Powtarza rozkaz, nalega i nareszcie, pobudzona przezeń karawana, rozpoczyna znowu swą smutną pielgrzymkę wzdłuż wybrzeża olbrzymiego oceanu szaro-zielonej, niedostępnej roślinności. Nauczony doświadczeniem swych poprzedników, dzielny podróżnik uzbraja się w cierpliwość, gdyż wie, że gniew na nic się tu nie przyda.

Trzeba wyminąć przeszkodę, jeżeli nie można jej pokonać siłą; to bardzo proste!

Konie kroczą powoli, ze wieszonemi głowami, wielbłądy parszają gniewnie, ilekroć muszą się przedzierać przez rozrzucone tu i owdzie grupy krzewów. Pastuchy klną pod nosem nienawistny skrub, który się naigrawa od tylu dni z ich cierpliwości.

Obaj powróciliby chętnie do Little Downs, lecz Dugan po namyśle postanowił ich zatrzymać; przyszedł bowiem do wniosku, iż nieroztropnie byłoby puszczać się w tak daleką podróż, mając przy sobie tylko trzech towarzyszy niedoświadczonych, i niezdolnych do znoszenia niewygód. Tom i stary poszukiwacz złota oddawali podróżnym niezmiernie ważne usługi i obecność ich przy karawanie okazała się niebawem konieczną.

Jerzy, który utracił wpośród scrubu cały swój dobry humor, korzystał z każdej wyniosłości gruntu, ażeby sięgnąć okiem w dal; miał on ciągle nadzieję, że dostrzeże jakie przejście wpośród złośliwej roślinności i udzieli towarzyszom tak upragnioną nowinę.

Niestety! daremnie wyteżał wzrok; ocean scrubu ciągnął się, het, bez końca, aż poza horyzont; gdzie niegdzie tylko widniały na szarawem tle zieloności nieregularne plamy czernawego piasku, niby wyspy na oceanie. Czyż ten przeklęty skrub zarasta całą środkową Australię?

Jerzy ścisnął pięści, groził nieprzebytemu gąszczowi i kłął, wyrzucając z siebie gniew, który go dławił ciągle. Jeżeli tak dalej potrwa, to karawana będzie musiała cofnąć się na wschód, zamiast dążyć ku zachodowi. Żadna historia! Ani słowa!

Ujrawszy samotnie stojące drzewo gumowe, chłopiec zsiadł z wielbłąda i wdarł się na wierzchołek, usiadł na gałęzi i zaczął rozpatrywać okolicę przez perspektywę.

— Daremnie się trudzisz! — zawołał z dołu Abel. — Skrub nie prędko jeszcze się skończy! Musisz poczekać.

— Właśnie, że nie potrzebuję czekać! — odparr Jerzy, rumieniąc się z radości. — Wuju, wuju! O dwie mile stąd, na zachodzie, widać nagie piaski, bez najmniejszego krzaczka scrubu! Prędej, prędzej, chodźcie zobaczyć sami! Trzeba tylko przerywać ścieżkę!

Dugan i Mangora pospieszyli sprawdzić tę wiadomość i przekonali się, że chłopiec miał słusność. Skrub kończył się o trzy kilometry dalej. Miejsce, w którym znajdowała się karawana, było, jakby cieśniną, utworzoną przez ocean zieloności pomiędzy dwoma obszarami nagich piasków.

— Przerybmy ścieżkę, wuju! — mówił chłopiec, podrygując na gałęzi; — zobaczysz, że dokonamy tego w parę dni i nie będziemy musieli za to okrażać tych przeklętych krzaków.

— Dzieciak z ciebie! — odparr Dugan; — przecie daleko prościej będzie posunąć się o kilkanaście kilometrów na północ do miejsca, gdzie skrub znika zupełnie.

— A kto wujowi powiedział, że to tak niedaleko? Wytrzeszczam oczy, a pomimo to nie mogę dostrzedz na północy gołych piasków, które błyszczałyby przecie w słońcu, tak jak tam.

— Nic dziwnego; wzrok twój nie sięga tak daleko.

— Przepraszam cię wuju; ten wążki pas rozszerza się w północnym kierunku, tak jak Ameryka, począwszy od miedzynorza Panama. Podług mnie trzeba przekopać kanał.

— Który ulegnie temu losowi co i panamski! — przerwał podróżnik z uśmiechem. — No, nie traćmy czasu i w drogę! Spodziewam się, że będzie lepiej, aniżeli ci się zdaje.

Karawana ciągnęła więc dalej brzegiem scrubu; podróżni nabrali humoru i Abel zaśpiewał głośno jakąś piosenkę, której wyuczył się od Morbory. Trzeba tu nadmienić, że pomiędzy czarnym studentem medycyny, a jego dzikim zionikiem zawiązała się serdeczna przyjaźń, na której najwięcej korzystał Morbora. Abel raczył go bowiem obficie tytuniem, sucharami i soloną wołowiną, uszczuplając swoje własne zasoby.



Typy greckie.

Obaj przyjaciele prawie się ze sobą nie rozstawali, razem jedli, popijali herbatę ze wspólnego kubka, a nawet spali pod jedną kołdrą.

Abel, korzystając ze sposobności, przypomniał sobie język, którym mówił w dzieciństwie; po paru tygodniach mógł już porozumiewać się dość biegle z Morborą.

(d. c. n.)

TYPY GRECKIE.

Arkadyjczyk. Majnota. Suliota.

Trzy męskie postacie, przedstawione na naszej rycinie noszą narodowe stroje, które zachowały dotąd niezatarte ślady swego pierwotnego pochodzenia.

Widzimy tu najpierw Arkadyjczyka potomka mieszkańców tyloкратно wślawionej przez poetów Arkadii, stanowiącej środkową część Peloponezu.

Malownicza ta przeważnie górzysta kraina, pozostawała w nader korzystnych warunkach przyrody i ztąd też łagodni jej mieszkańcy znajdując wszystko pod ręką cokolwiek tylko

było potrzebnem do zadowolenienia ich prostych potrzeb, żyli, szczęśliwie, oddając się chętnie w wolnych chwilach tańcom śpiewom i muzyce.

Słusznie też byli uważani przez innych mieszkańców Grecji za prawdziwych wybrańców losu, a ich ojczyzna służyła za tło poetom do malowania najpiękniejszych obrazów ludzkiego szczęścia.

Arkadya leży po większej części w granicach teraźniejszego królestwa greckiego, obejmuje około 80 mil kwadratowych, liczy 96,600 mieszkańców i dzieli się na cztery eparchje z m. Tripoliza.

Obok Arkadyjczyka wsparty na długiej strzelbie stoi Majnota, syn południowej Morei, której mieszkańcy, od znajdujących się tamże gór Majna, zowią się Majnotami. Odważne to i bitne pokolenie, wyzwolone z pod przemocy Turków od 1834 roku pozostaje pod rządem greckim.

Piękny typ albański przedstawia w swoim malowniczym stroju sędziwy Suliota, należący do chrześcijan albańskich, osiadłego w południowej części paszaliu Janiny. Są to potomkowie rodzin chrześcijańskich, które w XVI-y wieku dla uniknięcia prześladowców Turków, schroniły się w góry Suli, od których przybrali nazwę Suliotów. Liczba ich już od XVIII-go wieku wzrosła do 12,000 rozproszonych po różnych miejscowościach. Po przebyciu piętnastu lat krwawych utarczek z Ali paszą, zmuszeni niepowodzeniami, opuścili dotychczasową ojczyznę, lecz w roku 1820 znów powrócili do Suli.

Sulioeci nienawidzili Turków, gdy więc zmuszeni byli w 1872 r. poddać im swą warownię, rozproszyli się w największej części po górach starożytnej Grecji, tych zaś, którzy popadli w niewolę, wywieziono do

E. L.

GÓRSKIE ZAMCZYSKO

opowiadanie z XIV wieku.

P. ZUZANNĘ MORAWSKĄ.

(Dalszy ciąg).

Nigdzie jej nie znalazł, mimo to nie szczędził trudów a pośród tych poszukiwań zaznajomił się z wzniesionemi ku niebu szczytami, z ich wspaniałą na niższych stokach roślinnością, a wśród tego życia zrozumiał i odczuł ich piękno i z każdym też dniem więcej do nich przyrastał i tak się żył z niemi, że byłby chętnie wśród tej samotności pozostał, gdyby nie dane słowo Immergundzie, iż nad jej synem czuwać będzie i nie głos matki, który wrósł w jego serce i dźwięczał bezprzestannie słyszanemi podczas snu wyrazami:

— Coś przyrzekł, dopełnij!

— A gdybym nawet nie dał słowa i tak mam święty obowiązek, wszak żona Hofsteina moją matkę zabraną do niewoli wśród walki, kochała jak córkę, nie dała jej czuć, iż jest panią, wszakem ja się prawie razem z Immergundą wychowałem! jakżeby mi mógł jej się niewdzięcznością odplacić.

I na wspomnienie swej matki sięgnął, ile mógł tylko pamięcią i rzekł sam do siebie:

— Tak, tak, matka mi mówiła, iż jestem z takiego rodu, który słynie ze szlachetności i poświęcenia, i ja więc całe życie swoje dla małego Berchta poświęcę.

Wtem nagle myśl mu zabłysła, iż może kto z zamku Hofsteinów poszedł za ich śladem i uniósł napowrót swą panią.

Wracając więc do Hofsteinu, który najsmutniejszy przedstawiał widok. Porozwalane mury, rozbite naczynia i sprzęty, porozrzucana po wszystkich komnatach odzież, łuk ze

spuszczoną cięciwą, sajdak ze sterczącymi strzałami, miecz wyszczerbiony i nóż myśliwski zatknięty bezmyślnie w murze, oto co tam zobaczył. Prócz tego wałały się jeszcze szmaty porozdzieranego odzienia; znać zdobywca nie zdołał tego zabrać, lub pijana rzesza wydzierając sobie wzajem poszarpała je na strzępy. Walające się tu i owdzie poogryzane kości, resztki jadła, rzucone i zgniecione niesforeną nogą puhary, mówiły, iż wśród tych pełnych powagi murów, odbywała się uczta, która nie miała nic wspólnego z rycerskimi zabawami.

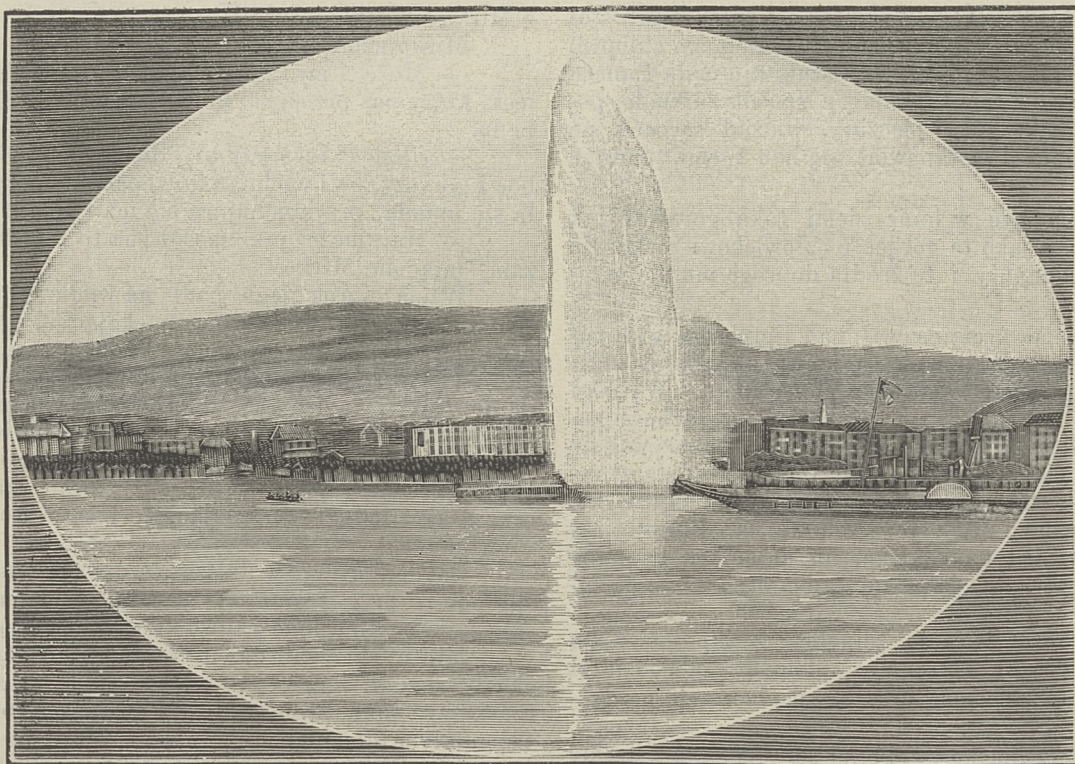
Przebiegł wszystkie komnaty i nie znalazł nigdzie żywego ducha, lecz wśród porozbijanych sprzętów znalazł niewielką skrzyneczkę, której, znać straciwszy wśród uczty przytomność, chciwi Siebenhaus nie dopatrywał.

na błyszczące kamienie, sprzedam na potrzeby Roberta i na odszukanie hrabiego... a i ciała jego małżonki.

Zamyślił się chwilkę a potem znać idąc za biegiem swych myśli, wyszeptał półgłosem:

— Wszak, nie użyję ich dla siebie! och, nie, nie z nich dla siebie nie wezmę!

I odpocząwszy znów chwilkę, wszedł do głębokich podziemi zamku i tam zakopał znalezione skarby. Sam zaś odział się w ubiór strzelca, włożył owinięte w walające się kawał jedwabnego szmatka drogie kamienie i schował w zanadrze. Potem zatknął za pas nóż myśliwski, przewiesił łuk przez ramię i przytwierdził u pasa sajdak ze strzałami. Tak odziany i uzbrojony opuścił zamek, udał się do Salzburga,



Wodotrysk w Genewie.

Skrzyneczka na peły była rozwarta a z jej wnętrza łamiąc się w barw tysiące i mieniając tęczwami blaski, patrzyły drogocenne klejnoty.

Popchnął je nogą z niechęcią, a szlachetne kamienie wysypując się ze swego ukrycia, mrugały nań nęcąco, jakby chciały powiedzieć:

— Nie gardź nami, młodzieńcze!

Zastanowił się nad nimi Mirko.

— Te drogie kamienie mogą mi posłużyć do odszukania hrabiego, ba! i do wychowania jego syna.

Wziął więc kilka nieoprawnych jeszcze klejnotów, pierścienie zaś, sznury pereł, drogocenny naszyjnik, zauszuki i inne ozdoby kobiecego stroju, które widywał podczas uroczystości zamkowych na Immergundzie, zamknął napowrót do skrzyneczki, mówiąc:

— Zachowam to wszystko w bezpiecznym miejscu do powrotu hrabiego, a tych kilka świecideł — dodał, patrząc

gdzie na dworze biskupa postanowił szukać pomocy, lub przynajmniej dowiedzieć się, kędy Robert Hofstein przebywał. I oto Mirko nagle stał się dorosłym. Jedna chwila przerozdziła go w żelaznej woli, pełnego rozwagi i poświęcenia męża.

Przekonawszy się, iż wszelkie usiłowania co do odnalezienia Immergundy są daremne, myślał tylko by dać znać o wszystkim co zaszło hrabiemu i w tym celu udał się na dwór biskupa. Ale biskup tak jak i Robert z całym dworem i licznym panów orszakiem pociągnął również pod Wiedeń, aby tam wraz z innymi radzić nad obiosem nowego cesarza.

Mirko dalej jak do Salzburga drogi nie znał, nie wiedział w którą ruszyć stronę, bo jako zbyt młody, nigdy dotąd nie był używany do roznoszenia pańskich rozkazów, ani też na żadnej wyprawie wojennej hrabiemu nie towarzyszył. Przyłączył się więc do karawany kupieckiej ale wprędce się opatrzył, że ta w inną zupełnie ciągnęła stronę i zbiedzony, zawiedzony w swoich nadziejach powrócił w góry.

Potem kilkakrotnie przez rycerzy starał się o Robercie cośkolwiek dowiedzieć i jemu nawzajem przesłać wieści, ale w owych czasach wszelkie podróże tak były utrudnione, iż trzeba było rzeczywiście czekać lata całe, nim rycerz będący na wojnie otrzymał orędzie ze swego zamku i dowiedział się o losie tych, których zostawił.

Wiedział o tem Mirko i nie pozostawało mu nic więcej, jak czuwać nad młodym Berchtem, który jako rybak w chacie babuli, wychowywał się pod imieniem Bogumila.

Wierny zaś temu co zamierzył czuwał nad nim, aby dostrzymać słowa jego matce i zarazem wywdzięczyć się za doznana opiekę niegdyś w swoim dzieciństwie.

Dziś kiedy błąkał się po górach, tem więcej stawały mu w oczach obrazy, które jak przez mgłę przypominał sobie z lat swoich dziecięcych i powtarzał pieśń nikomu tutaj nieznaną, której on sam wyrazów nie pamiętał, a której dźwięki miłe dlań jakieś budziły uczucia.

Zył tak oddalony od ludzi, zbratał się z naturą, podłuchał jej tajemnice, wyszukiwał coraz więcej w niej piękności i dziwił się, że ludzie tak mało z jej darów korzystać umieją.

Tak mijał rok za rokiem, aż Mirko z młodzieńca stał się mężem dojrzałym, a Bercht wyrósł na dzielnego chłopca. Mirko wśród swoich wędrówek i poszukiwań ciała Immergundy, które w tak dziwnie tajemniczy sposób zniknęło, poznał wszystkie załamki gór i pieczary, widział sączące się z nich gorące źródła i zastanawiał się nad niemi, mówiąc sam do siebie:

— Musić tam być w łonie ziemi taka gorącość jak w piersi człowieka, a jako ta gorącość człowiekowi wskazuje dobre drogi, tak bodaj czy i te źródła dobrego mu nie przyniosą.

I wśród takiego życia czuwał nad Berchtem, widywał się z babulą, i ze sprzedawanych częściowo klejnotów, starczył na skromne utrzymanie potomka Hofsteinów. Wymógł jednak na babuli, iż przed swym wychowawcą zachowa zupełną tajemnicę, kto się nim opiekuje, sam zaś ukazywał się jej zwykle wśród cieni nocnych, tak, iż w oczach starej rybacki wyrósł na postać legendową, zjawiającą się zwykle w najcięższych chwilach życia jej wychowawcą, Bogum zaś czyli Berchta widywał tylko zdaleka, nie dając mu się nigdy poznać i nie odkrywając, jaka nić tajemnicza z nim go łączyła.

Ta tajemniczość licowała zupełnie z usposobieniem Mirka, który znać ze swego rodu czy plemienia odziedziczył unysł pełny poezji i uniesień, a serce szlachetne do poświęcenia skłonne.

Stara zaś rybacka uważając go jako rycerza z licznie powtarzanych legend i baśni, ufała, że sama Opatrzność zsyła tę czuwającą bezprzestannie nad jej wychowawcą rękę, bo jak to widzieliśmy, w chwili ciężkiego smutku po utopionym wrzekomo Bogumie, nieodbitnie wierzyła, iż ręka ta nie pozwoli zginać dzielnemu chłopcu. Aż oto jednego dnia, gdy zawlokła się prawie bezwiednie na stoki niższych skał, spostrzegła w nich strzelca, który ją zaprowadził dalej na szczyty i przychodzącego do zdrowia Boguma oddał w wyłączną jej opiekę.

Odtąd w głębinie pieczary babula doglądała swego wychowawcę, prowadząc go codziennie do pobliskiego sączącego się ze skały ciepłego źródła. Chłopiec skąpany w ożywczej wodzie z każdym dniem czuł się rańniejszym, ślady zabliźnionych ran znikwały powoli a nadwątłone siły, do dawnej krzepkości wracały.

Więc jeszcze więcej utrwaliło się w babuli przekonanie, że Bogum jest ulubieńcem Opatrzności, i że ta wybrała go do spełnienia wielkich czynów, jeżeli na drodze jego postawiła nie tylko nieznanego strzelca, który go chronił od wielu niebezpieczeństw, lecz zesłała jeszcze źródło uzdrawiające.

Bogum zaś i strzelec nie tylko z podziwem patrzyli na sączącą się ze skał gorącą wodę, lecz raz przekonawszy się o jej sile uzdrawiającej, postanowili z niej jakąś korzyść osiągnąć.

Mirko oddawna już nad tem rozmyślał, czuł, że w tych kroplach sączących się ze skał, spoczywa wielka siła i tę siłę, to bogactwo chciał z łona ziemi wydrzeć. Jeżeli żelazo, złoto i srebro ludzie wydarli ziemi, czemużby ja z tych kropli słonej wody nie miał uczynić wielkich studni, któreby ludziom zdrowie i siły wracały — mówił sobie Mirko. A mając ciągle na myśli krzywdy jakie wyrządzono młodemu Hofsteinowi, zaraz dodawał:

— Zły człowiek zabrał mu wszelkie bogactwa i zamki, może to Opatrzność zesłała źródło, żeby mu te krzywdy wynagrodzić

— Gdyby z tych źródeł sól wyciągnąć można, ludzie nie kłopotaliby się o tę doskonałą przyprawę, a i ryba lepiej by smakowała — myślał sobie Bogum.

— Ale czyby nam wolno było ją zabierać? — dodał sobie zaraz w myśli.

— Wszakże to wśród tych gór stoją zamki baronów, a ci z pewnością nie pozwolą nam z tego bogactwa korzystać — zastanawiał się dalej Bogum. — Ale i cóż, przecież my tych bogactw nie zabierzemy dla siebie, oddamy je innym, będą z nich mogli i baroni korzystać — myśłami temi podzielił się z Mirkiem.

Mirko uśmiechnął się tylko i rzekł:

— Może i my z tych źródeł słonych wybudujemy zamek, który nas przeżyje, bo da bogactwo tym, co po nas żyć będą.

— Słoność tej wody to i dobra ale chyba nie do jadła, boć i goryczy, ba i cuchnącego zapachu w niej wiele — ozwała się babula, przysłuchująca się ich rozmowie.

— Ha, może jaki sposób na to znajdziemy — odparł zamyślając się Mirko.

Wtem wzrok jego padł na wielki głaz leżący u stóp skały, w którym woda znać ściekając od wieków, wyłobiliła głęboko wnętrze, tworząc tym sposobem samorodną studnię.

— Gdyby tak ten kamień obłożyć dokoła ogniem i wodę do większej gorącości doprowadzić, możebyśmy ten cuchnący zapach z niej wygotowali — rzekł Mirko.

I nie namyślając się wiele począł gromadzić dokoła gałęzie z rosnącej w pobliskiej rozpadlinie karłowatej sosny, oraz grube łodygi porastających niższe stoki skał, paproci i innego ziela.

Bogum, który w dalszą jeszcze nie puszczał się drogę, spróbował przy tej pracy sił swoich, babula zaś układała starannie przyniesione paliwo około kamienia.

Mirko skrzesał ogień, ten powoli obejmując gałęzie, chwilę ślizgał się złotawo błękitnawym światelkiem, a wyrzuciwszy kilka kłębow dymu, objął nagromadzone paliwo wspaniałym płomieniem.

Ale gałęzi na to ognisko było jeszcze za mało, kiedy więc babula ogarniała je, aby jak najbliżej kamień napelniony wodą obejmowało, Mirko i Bogum znosili je z coraz niższych stoków i podsycali ognisko.

(d. c. n.)

Wodotrysk w Genewie.

Największy istniejący dziś na kuli ziemskiej wodotrysk, który tu widzicie, urządzony został w Genewie. Wody bijącej na 90 metrów wysoko, dostarcza mu sieć kanałów przecinających miasto obficie zaopatrzone w wodę. Zdaleka czyni on wrażenie mglistej białej zasłony, poruszanej za powiewem wiatru. Zwykle puszcza ją wodę tylko w niedziele, czasami jednak i w dnie powszednie, wieczorem otwierają krany, które wyrzucają promienie wody mniejszej wysokości. Oświecone światłem elektrycznym, błyszczą one barwami różnokolorowych drogich kamieni.

CUDOWNA WYSPA

Najnowsza powieść Juliusza Verne'a

przekład M. D

(Ciąg dalszy).

— Jakież to straty ponosicie panowie, kiedy właśnie mam zaofiarować wam sto razy więcej, jakbyście się mogli kiedykolwiek spodziewać.

— Proszę, niech pan to jaśniej zechce wytłomaczyć — robi uwagę Francolin.

Kalikstus Munbar za całą odpowiedź wydobył z pugilaresu papier, zdobny w herby wyspy i pokazawszy go artystom dodał:

— Brakuje tylko waszych podpisów poniżej tej umowy, a sprawa cała jest skończoną.

— Podpisywać akt jakiś nie znając jego treści? Nie, panie, to się nie zwykło praktykować nigdzie! — odpowiada stanowczo drugi skrzypek.

— A jednak pewny jestem, żebyście tym razem nie potrzebowali żałować tego — zapewnia prezes Sztuk Pięknych, poddając się wybuchowi wesołego śmiechu. Lecz traktujemy rzeczy systematycznie i prawnie! Otóż na tym papierze spisana jest umowa, którą Towarzystwo przedstawia panom, jako artystom muzyki salonowej, na występy, podług programów przyjętych w waszych koncertach po Ameryce. Umowa ta obowiązuje obie strony przez rok cały, to znaczy do chwili powrotu Standard-Island do portu Magdaleny, gdzie przybędziecie dość wcześniej aby...

— Aby zdążyć na zapowiadziany koncert w San-Diego gdzie nas przyjmą wygwizdaniem! — kończy ironicznym głosem Sebastyan.

— Przeciwnie, panie Vaillant, gdzie was przyjmą z największym entuzjazmem i obsypią oklaskami; każdy bowiem amator czuje się nadto szczęśliwym, gdy może posłuchać artystów miary, kiedykolwiek oni tylko zechcą dać się słyszeć. chociażby nawet po całorocznym opóźnieniu.

Jakże tu zachować w sercu gniew na tego człowieka, umiającego tak zręcznie pochlebić miłości własnej każdego! Francolin bierze więc przedstawiony papier do ręki i czyta go z uwagą, poczem zapytuje.

— A jakież zapewnienie będziemy na to mieli?

— Poręczenie najzapewniejsze Towarzystwa Standard-Island, z podpisem pana Cyrusa Bikerstaff, naszego gubernatora.

— I wynagrodzenie będzie takie, jakie widzę oznaczone na tym akcie?

— Naturalnie, milion franków.

— Dla całego Kwartetu? — woła Panchard.

— Dla każdego z członków oddzielnie biorąc, a jeszcze zdaniem mojem cyfra ta jest małą w porównaniu do waszego talentu, którego nie dostatecznie wynagrodzić nie zdoła.

Przyznać trzeba, że nie łatwo dorównać uprzejmości pana Munbara, a jednak Sebastyan Vaillant odrzuca wszystko bezwzględnie, za żadną cenę nie chce przyjąć przedstawionej propozycji i żąda możliwości powrotu do San-Diego.

Z trudem nieopisanym i po dłuższym dopiero czasie rozumne słowa Francolina uspokoiły go nieco. Lecz i w umyśle drugiego skrzypka powstaje jeszcze pewne niedowierzanie co do prawdziwości przedstawionej umowy, szczególnie w obec olbrzymiej sumy rocznego wynagrodzenia.

— Milion franków dla każdego z artystów na rok jeden. Czy rzecz taką należy uważać za poważną i pewną zupełnie? — rozmyśla przezorny Francolin. Zwraca się więc do Kalikstusa, pytając:

— A oznaczone wynagrodzenie kiedyż nam wypłaconem będzie?

— W czterech ratach kwartalnych i oto pierwsza — odpowiada tenże, wyjmując pakiet biletów bankowych w sumie dwukroć pięćdziesięciu tysięcy franków, które dzieli na cztery części po pięćdziesiąt tysięcy dolarów i doręcza je zdumionym Paryżanom.

Oto bez zaprzeczenia łatwy sposób traktowania interesu, sposób prawdziwie amerykański.

W obec takich danych, nawet zły humor Sebastyana musi ustąpić nieco; lecz dyrektor kwartetu nie jest jeszcze zupełnie przekonany, owszem szorstkim głosem czyni uwagę.

— Wszystko to może być bardzo pięknem, lecz zważywszy ceny przyjęte na waszej wyspie, gdzie liczą sobie dwadzieścia franków za jedną kuropatwę, to ile zażądają za parę rękawiczek, lub butów, które będziemy zmuszeni tu kupić.

— O, panie Vaillant — odpowiada Kalikstus Munbar — zaręczam panu, że Towarzystwo Standard-Island nie liczy się z podobnemi bagatelami; wszelkie więc koszty pobytu artystów „Koncertującego Kwartetu” w Miliard-City ponosić będziemy jaknajchętniej.

Czyż mogą Paryżanie zrobić lepszy wybór nad przyjęcie tak wspaniałomyślnie stawianych warunków i podpisanie obowiązującej obie strony umowy?

Każdy z nich rozumie to aż nadto dobrze, że los wyjątkowo już im dziś przychylny, w najlepszym też usposobieniu kładą wszyscy swój podpis na przedstawionym papierze. Nawet Sebestyan, chociaż nadmienia coś jeszcze o niedorzeczności puszczania się w świat na jakiejś pływającej, sztucznej wyspie, o przekonaniu, że pożałują jeszcze nierozważnego kroku, nakreśla wreszcie swe imię, jako dyrektor Kwartetu.

Po dokonaniu tej formalności, jeżeli artyści nie ucałowali ręki Kalikstusa Munbara, to uściśnęli ją serdecznie, jak najlepszemu przyjacielowi.

ZACHODNI PRZYŁĄDEK.

Na olbrzymich wodach oceanu Spokojnego, który w tej porze roku usprawiedliwia swą nazwę, płynie Standard-Island powoli, ale też bez najłżejszego kołysania, jakiemu ulegają przecież największe nawet pancerniki. Potężne śruby, każda o sile pięciu milionów koni, działając nieustannie, odzywają się tylko słabem drżeniem w stalowej podstawie wyspy; drżenie to jest zresztą tak małoznaczne, że „Koncertujący Kwartet” w czasie dwudziesto czterogodzinnego pobytu swego na tym cudownym kawałku ziemi, obecnie żadnej już na to nie zwraca uwagi. Nie też w mieszkaniach nie zdradza obawy przed gwałtowniejszym jakim wstrząśnieniem; wszystkie sprzęty stoją swobodnie, bez przymocowania do ścian lub posadzek, jakby to było w Paryżu, lub w Nowym-Yorku, bo zresztą czyż Standard Island nie przedstawia pewności i spokoju lądów stałych, spokoju tem niezawodniejszego, że nawet nie grożą im trzęsienia wulkaniczne, które w ostatnich czasach pojawiają się tak często na naszym globie, burząc wioski, miasta i krainy całe.

Po krótkim spoczynku w porcie Magdaleny uchwalono na walnem zebraniu mieszkańców Miliard-City plan nowej całorocznej podróży. Wprawdzie pływająca wyspa mogłaby gdyby chciała, bez narażenia się na niebezpieczeństwo zawinąć na Atlantyk, lub Ocean Indyjski, okrążając przyładek Horn lub przyładek Dobrej Nadziei i stanąć u wybrzeży Europy lub Azji. Lecz po cóż szukać stron tak oddalonych, gdy wśród licznych Archipelagów Oceanu Spokojnego znajdują jej mieszkańcy obok wymarzonych warunków klimatycznych, pożądaną przyjemności i nieznane, a coraz nowe niespodzianki.

Pod względem przyjęcia przedstawionego planu nie było dotąd w Miliard City nieporozumienia żadnego; zarówno część jej katolicka, jak i protestancka, jeśli nie może się rządzić instynktem, który prowadzi wędrowne ptaki do miejsc, odpowiadających najwięcej ich potrzebom, to poddaje się chętnie rozumnym wskazówkom uczonych! na których w zupełności polegać może.

Za jednomyślnem więc przyjęciem projektu, Standard-Island zmierza obecnie do wysp Sandwich, mając do przebycia tysiąc dwieście mil morskich, na co, biorąc pod uwagę powolność ruchów, potrzebować będzie około miesiąca czasu.

Po przepędzonej nocy w „Hotelu Exelsior” zajął francuski „Kwartet” przeznaczone mu w gmachu „Casino” mieszkanie wygodne i eleganckie, w którym, oprócz oddzielnego pokoju dla każdego, mają jeszcze wszyscy wspólny, obszerny salon.

„Casino” zwrócone frontem do ulicy pierwszej, ma od strony dziedzińca plac obszerny ocieniony zielenią drzew, a wśród kwiatowych parterów rozpryskują swe wody liczne fontanny chłodząc i odświeżając powietrze. Po prawej stronie tych zabudowań wznosi się „Muzeum” miasta, na lewej sale koncertowe, w których artyści zastępują niebawem w swych „porankach” lub „wieczorach muzycznych” tak zachwalone przez Kalikstusa echa fonografów i teatrafonów.

— A więc przyjaciele, cóż mówicie wreszcie na to wszystko, co nas od wczoraj spotkało, zagadał Ponchard swych towarzyszy, gdy się wszyscy we wspólnej zebrali sali.

— Mojem zdaniem jest to sen cudowny, sen w który popadliśmy za milion franków rocznie.

— O, jest to najpiękniejsza w świecie rzeczywistość — odpowiada Francolin. — Zajrzyj tylko do swego pugilaresu, a znajdziesz już w nim jedną czwartą tego miliona.

— Nie chwalcie się zbyt, bo Bóg raczy wiedzieć jak się to wszystko skończy! Co do mnie, nie widzę nic dobrego w całej tej nieprawdopodobnej i dziwacznej sprawie! — zawołał Sebestyan, lubiący nawet na słońcu dopatrywać plam ciemnych. — Zapomnieliście już widzieć o naszych kufrach i rzeczach, które nam przepadły.

Słuszna uwaga, rzeczy wysłane do San-Diego, nigdy już pewnie nie dojdą rąk właścicieli; czy jednak ci ostatni poniosą w tem stratę wielką? Skromna i nie nowa już zresztą garderoba artystów nie przedstawiała zbyt wysokiej wartości, a za kilkanaście godzin ma być im dostarczone wszystko, czego zapotrzebują do swej toalety, wraz z pięknem ubraniem koncertowem, a nikt nie zażąda od nich za to, ani jednego franka.

Kalikstus Munbar zadowolony, że udało mu się zapewnić miastu wyjątkową przyjemność słuchania koncertów smyczkowych, jest pod każdym względem sprzedającym grzeczynym, starając się odgadnąć nie tylko potrzeby, lecz nawet marzenia swych gości. Zawiadomił ich też zaraz na wstępie że ilekroć tylko zapragną, wolno im zasiąść w restauracji do posiłku bez obawy płacenia rachunków, choćby najmniejszych.

Oddany w zupełności obowiązkom pełnomocnika we wszystkim co dotyczy piękna i przyjemności, Kalikstus przedstawia, typ człowieka żyjącego w bezustannym ruchu i ożywieniu, a zajmując jeden z apartamentów w „Casino” sprawuje liczne czynności prezesa różnych tu oddziałów z wyjątkową znajomością rzeczy. Za zdolną też swoją pracę wynagradzany był z tą hojnością, na jaką zdobyć się mogą jedynie bogacze miliardowego miasta.

W gmachu „Muzeum” parter zajęty jest na biblioteki i czytelnie, które zaopatrzone bywają w dzieła klasyczne i naukowe, jako też w nowości z działu powieści i podróży.

Tuż obok mieści się sala gry; jakkolwiek bakar, poker, ruleta i w ogóle wszelkie hazardy surowo są wzbronione na Standard-Island.

Na piętrze ciągną się, z górnem oświetleniem, wspaniałe galerie obrazów, których zbiór jest zarówno liczny jak starannie dobrany, przedstawiając wszystkie szkoły i wszystkie narodowości. Oko znawcy może się tu spotkać z arcydzielniami Rafaela, Van Dycka, Murilla, Holbeina, Rembrandta Ruysdaela i to obok płócien Meissoniera, Milleta Rousseau, Makarta, Semiradzkiego, Matejki i innych mistrzów najnowszych czasów.

Piękne też marmury, dłuta najslawniejszych rzeźbiarzy Europy, zdobią sale, krużganki i przedsionki gmachu, co więcej, porostawiane są nawet wśród klombów zieleni, gdyż pod łagodnem i wolnem od mgły i deszczów niebem Standard-Islandu, cenne te dzieła nie ulegają najmniejszemu uszkodzeniu.

Zbytecznem jednak byłoby przesądzać, że ten przybytek Muz, nadto często bywa odwiedzany przez mieszkańców wyspy, że zniżył piękna jest tu w wysokim rozwinięty stopni.

Posiadać te rzeczy, choćby je przyszło na licytacyach, wagą złota okupić, na to jednomyślnie zgadzają się wszyscy, lecz żeby je podziwiać i z przyjemnością oglądać, na to już nie trzeba być urodzonym Yankeeem.

Zauważyć wypada nam przecież, że częściej jeszcze spotkać tu można mieszkańców dzielnicy katolickiej, aniżeli protestantów umiejących zawsze wyżej oceniać praktyczność od piękna.

Najliczniej odwiedzanymi w „Casino” są czytelnie, w których znajdują się dzienniki, przeglądy i wszelkie tygodniki Starego i Nowego Świata, dowożone tu regularnie przez parowce, które zostają w ciągłej komunikacji z wyspą, a portem Magdaleny.

Arkusze te różnego kształtu i wyglądu, zostając czas jakiś w rękach ciekawych czytelników, spoczywają potem najspokojniej w świecie na półkach biblioteki, pośród tysięcy dzieł, których utrzymanie w porządku wymagało ręki oddzielnego bibliotekarza. Chociaż wynagrodzenie jego roczne dochodzi dwudziestu pięciu tysięcy franków, jest to jednak urzędnik w Miliard-City mający stosunkowo najmniej może zajęcia.

W osobnem dziale znajdują się tu również książki fonograficzne, które oszczędzają trudem wzroku czytaniem; wystarcza bowiem nacisnąć sprężynkę, aby usłyszeć pięknie wydeklamowane arcydzieła poetów różnych ludów i czasów.

Z miejscowych pism dwa szczególniejsze wyróżnić nam wypada, a mianowicie „Starboard-Cronicle” i „New-Herald,” oba redagowane i drukowane w jednym z dalszych pawilonów Casino. Są to organa dwóch głównych partji Miliard-City; pierwsze o katolickim, drugie zaś o protestanckim charakterze. Nadzwyczaj kosztowne te dzienniki zapełniają swą szpalty artykułami: z polityki, spraw społecznych, operacji giełdowych, recenzjami i krytykami, dotyczącymi stosunków wszystkich państw kuli ziemskiej, a odbieranemi tu drogą telegraficzną za pośrednictwem portu Magdaleny.

(d. c. n.)

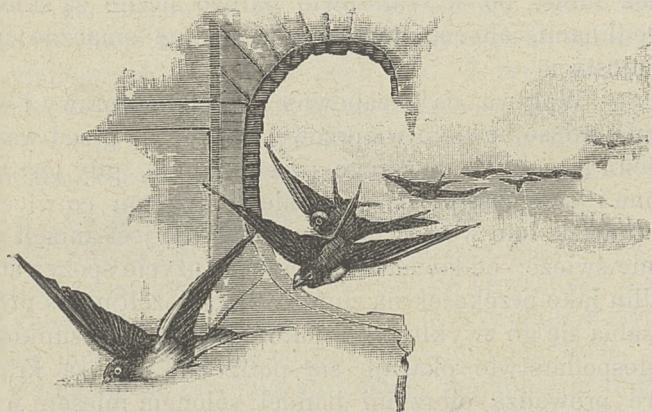
PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: O zachodzie słońca, wiersz p. M. D. (z drzew.) — Stos galwaniczny z cytryny p. St. Kramsztyka. — W pustyniach Australii p. Władysława Umińskiego. — Typy greckie p. E. L. (z drzew.) — Górskie zamczysko, opowiadanie z XIV wieku p. Zuzanne Morawską. — Wodotrysk w Genewie (z drzew.) — Cudowna wyspa, najnowsza powieść Juliusza Verne'a, przekład M. D. — **Dodatek:** Dziecię i jaskółka wiersz p. E. L. — Strachy. — Pogadanka z wujaszkiem. — Opowiadanie starszej siostry, z angielskiego M-sa Molesworth. — Łamigłówki i rozwiązania. — **Dodatek książkowy:** Dla szczęścia rodziny. Przekład Maryi B.

WIECZORY RODZINNE



DZIECIĘ I JASKÓŁKA.

— Witaj mi jaskółeczko z dalekiej podróży!
Twój powrót w nasze strony wiosenkę nam wróży.
Powiedz, jakie w twej drodze przebyłaś koleje?
Powiedz, z kąd wiesz, że przeszły zimowe zawieje?
— Dobry Bóg co w dalekim strzegł mnie dotąd kraju,
Kazał mi do was wracać według obyczaju.
On mi siły do lotu dodawał niebodze
I swą dłonią opatrzną przewodniczył w drodze.
Bo wie, że mnie tu ludzie czekają z uciechą,
Kiedy skromne gniazdeczko zlepiwszy pod strzechą,
Będę potem krążyła wśród zielonych sadów,
Broniąc liście i owoc od psotnych owadów.
Ztąd więc i ty się naucz ukochane dziecko!
Że Pan Bóg nie bez celu nie stworzył na świecie.

E. L.

STRACHY.

(Dalszy ciąg).

— O pewno! ja się i tak boję — potwierdziła spieszenie Władzia — najlepiej od razu zawołać niani, babci i mamusi...

— Może najlepiej... i koniecznie Jana, lokaja... choć babcia gotowa zaraz powiedzieć, że ja jestem tchórzem, a ja nie jestem, tylko ty...

— O, bardzo proszę! i ja „nie jestem”! Ja także jestem strasznie ciekawa *stracha*, tylko tak myślę, że trzeba, żeby babcia wiedziała, co się u niej w tej dużej sali dzieje...

— A pamiętasz, Władziu, jakeśmy to sobie z początku tygodnia układali, żeby koniecznie coś zrobić dla babci? Babcia taka dobra!

— Pamiętam, co ty naprzykład myślisz?

Całą tę rozmowę dzieci prowadziły półgłosem, przytulone do siebie i nie milknąc ani na chwilę, bo dopóki mówiły i słyszały swoje słowa, nie były się prawie wcale. Tajemnicze dźwięki harfy od chwili też już jakoś ustały w sąsiednim pokoju.

— A no, ja myślę... ja myślę... Doprawdy Władziu, tak we dwoje, moglibyśmy teraz zajrzeć choć troszeczkę, bo mnie się zdaje, że babcia byłaby najbardziej rada dowiedzieć się, że nie jesteśmy tchórzami.

— A jak nam „strach” co zrobi?

— Teraz tam tak cicho, już sobie chyba poszedł... Popatrzymy tylko, czy harfa leży na miejscu, i czy przykryta, jak ją babunia zostawiła...

— Ale tylko z progu, mój Mieciu!

— Tak, tylko z progu.

Miecio, który doprawdy był odważnym chłopczykiem, a lubił się bawić w jeszcze większego zucha, wziął lichtarz z zapaloną świecą i postąpił ku drzwiom sali — za nim, trzymając się go ręką za surducik i szcękając zębami ze strachu, szła Władzia narzuciwszy na siebie sukienkę.

W sali panowało w tej chwili głucho milczenie, tylko przez szparę pod drzwiami widać było, jak jasno, biało, księżyc świecił na podłogę...

Miecio położył rękę na klamce i wszedł, ciągnąc Władzię za sobą; stara posadzka skrzypiała pod ich bosemi nóżkami, a ponieważ w tej chwili dreszcz jakiś przebiegł chłopca, upewniał więc trzęsącą się także siostrzyczkę, że to tak tylko z zimna.

Zaraz za wejściem do sali ogarnął dzieci miły, prawdziwie wielkanocny zapach święconego, który mimo zamkniętych drzwi, wdierał się tutaj z sąsiedniego pokoju. Te zmieszane zapachy kielbas, szynki, słodkich ciast i świeżych hyacyntów, którymi stół był ubrany, od razu jakoś uspokajająco podziały; tak tu pachniało mile święcone, gdzieżby tu jakiś strach pozwalał sobie gospodarować!

W tej chwili mały, czarny kotek babuni, z którym dzieci w dzień, bardzo się bawić lubiły, otarł się o bosc nóżki Władzi; dziewczynka w pierwszej chwili krzyknęła, ale wnet poznawszy co to było, schyliła się skwapliwie i chwyciwszy kotka przytuliła go mocno do siebie. W samą porę zjawił się Lizuś: czując jego ciepłe, miękkie futerko, Władzia bać się prawie przestała. Zresztą „stracha” jakoś doprawdy nie było widać! Księżyc tylko świecił bardzo jasno i przeciąg od drzwi, których dzieci nie domknęły za sobą, chwiały dziwacznie płomieniem świecy i topił ją skwiercząc dokoła zadługiego knota.

— A przecież nam się obojgu nie przyśniło! ja mogłbym przysiąc, że ta harfa sama grała przed chwilą mówił szeptem Miecio.

— I ja mogłabym przysiąc! słyhać było najwyraźniej, ot tak: drym... drym... drym... brzdęk! dzeń! i Wła-

dzia w zapale dowodzenia, przycisnęła jakoś silnie kotka do siebie.

Kotek miauknął i próbował się uwolnić z cisnących go rącek, a gdy w tem usiłowaniu przypadkiem zadrapnął Władzię, dziewczynka puściła go już prawie zupełnie uspokojona, myśląc, że chociażby tu nawet jakiś strach chodził, w tej chwili go z pewnością niema!

W tem przekonaniu dzieci postanowiły obejść odwrotnie całą salę, aby mieć to zadowolenie, że doprawdy popiszą się odwagą przed babcią.

Jakże wszakże przeraziły się gdy nagle, właśnie kiedy dochodziły do pieca, poza nimi, harfa prababci ni ztąd ni zowąd znowu grać zaczęła! Dzieciom włosy stanęły na głowie, nogi wrosły w posadzkę, przypuszczały, że jeśli się odwrócą i spojrzą, już będzie po nich.

Jednak, gdy dziwna muzyka nie ustawała, Miecio nie wytrzymał i ostrożnie, prawie nie odwracając głowy, rzucił jedno ukradkowe spojrzenie za siebie, w stronę harfy; ledwo to uczynił, wybuchnął szczerym, wesołym śmiechem.

— To to taki duch! to takie strachy! A ślicznie, ślicznie! padam do nóg, a raczej do łapek wielmożnego pana stracha!

(d. c. n.)

POGADANKA Z WUJASZKIEM.

Świnia domowa i dzika

Ze szczególnem upodobaniem lubił Władzio towarzyszyć wujkowi, gdy ten przed samym wieczorem wychodził do gospodarstwa. Ogólny ruch, jaki wtenczas zwykł tam panować, pospieszne krzątanie się czeladzi, wracające konie ze żniwnymi wozami i woły u pługów, krowy i cielątka spieszące z pastwiska na nocny spoczynek, gromady owiec radosnym bekiem napełniające powietrze, wszystko to, tak żywo zajmowało chłopca, tak go nęciło i zaciekawiało, że godzinę ową zwykł uważać za najprzyjemniejszą z dnia całego.

Dzisiaj szczególną zwrócił uwagę, na trzodę świń, które pastuch zapędzał do chlewów. Nie łatwa to była sprawa i niejednokrotnie przypatrujący się zdala chłopiec, pustym wybuchał śmiechem, gdy już spędzona razem gromada, znowu niesfornie się rozpierzchała, nie licząc się bardzo z długim batem swego dozorcę.

— Jakie te świnię są zabawne! — wołał raz po raz Władzio — niechno wujaszek spojrzy, znowu się wszystkie porozbiegały! O! już jabym nie chciał za nie w świecie pasać trzody, wołałbym sto razy, chociaż nie bardzo mądre, lecz posłuszne przynajmniej owieczki.

— To też obowiązek ten, uważany jest powszechnie za najpodlejszy, jakkolwiek żadna praca uczciwa nie powinna hańbić człowieka. Świnia jednak obok niesforności swojej, jest stworzeniem niemiłym, a tak brudnym, wstrętnem nieledwie w swych obyczajach, że łatwo zrozumieć pogardę, jaką ludzie oddawna dla niej mają.

— Ja też właśnie myślałem, poco to wujaszek tak dużo świń i prosiat chować każe, czy już nie lepiej byłoby trzymać w to miejsce więcej koni lub krówek?

— Cóż robić, moje dziecko, nie samem tylko pieknem otaczać się możemy, a trzoda chlewna, chociaż nie jest niezbędną, jest jednak bardzo pożyteczną w gospodarstwie domowem. Zapytaj się tylko cici, onaby ci wiele o tem powiedzieć mogła. Zresztą ty sam, o ile mi się zdaje, zajądasz z wielkim gustem szynki i kiełbasy.

— To prawda, że są dobre i dużo osób musi je również lubić, bo w Warszawie bardzo liczne są sklepy z wędlinami, chociaż tam mniej są one smaczne niż u wujostwa.

— Wpływa na to zapewne sposób przyprawy i wędzenia; mięso bowiem wieprzowe nadaje się przed wszystkiemi innemi do dłuższego przechowania, gdy jest nasolone i jakiś czas powisi w dymie drzewnym; co więcej, nie traci na tem wcale, owszem zdrowsze jest aniżeli zupełnie świeże; oddawna też weszło w użycie spożywanie wędlin jako przekąsek na zimno. Lecz jeżeli u nas przypisania się go zwykle taka tylko ilość, jaka stosunkowo w gospodarstwie okazuje się potrzebną, to są kraje, które prowadzą olbrzymi handel solonem mięsem wieprzowem. Do takich przedewszystkiem zaliczyć należy Ohio, jeden ze Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej, którego stolica Cincinnati, szydersko Porcopolis, czyli świńskiem miastem przezwaną została.

— A czemu, proszę wujaszka, Żydzi nie jedzą nigdy wieprzowiny?

— Bo w gorących krajach, do których zaliczamy Palestynę, mięso tych zwierząt jest, jak się zdaje w skutek wielkich upałów, bardzo dla człowieka niezdrowe, prawdopodobnie więc, aby uchronić lud od różnych niebezpiecznych chorób, prawo Mojżesza surowo zabroniło spożywać tego mięsa Izraelitom.

— Czy oprócz mięsa, mamy jeszcze inny ze świni użytek? — pytał Władzio.

— Widzę, że mój siostrzeniec jest dzisiaj rozżartym i niebardzo się zastanawia. No, proszę, pomyśl tylko chwilę, a sam może jeszcze co odnajdziesz.

— Doprawdy, że nie wiem wujaszku, czyby skóra świńska?...

— A tak w przemyśle i skóra wieprzowa używana jest, za najlepsze, nawet uchodzą wyrobione z niej siodła do konnej jazdy.

— Ale ta skóra jest bardzo gruba, aż sam się zdziwiłem, gdym ją oglądał na szynce w święta Wielkanocne.

— Rzeczywiście, jest grubsza u trzody aniżeli u wielu innych zwierząt ssących, dla tego też świnia zaliczoną została do gromady tak zwanych „gruboskórnych” zwierząt, do której należy również słoń z olbrzymią swą trąbą, hipopotam, nosorożec i inne wyróżniające się nadto swym wzrostem i niezgrabnością.

Obok tych cech, mają one jeszcze to wspólne, że każdy palec u ich nóg zakończony jest osobnem kopytkiem, ztąd ogólnie: *wielokopytnemi* nazwane zostały.

— Przypomniałem sobie jeszcze, że gotowane karkofle bardzo smaczne są ze słoniną, czy ona też jeszcze do czego innego bywa używaną?

— Po największej części tłuszcz wieprzowy, to jest słonina, sadło lub smalec, służy ludziom do różnych potraw, a będąc stosunkowo dość tanim, oddaje usługi wielkie, tym szczególnie, dla których masło jest zbyt dro-

giem. Lecz oprócz mięsa, tłuszczu i skóry, spożytkowują jeszcze ludzie grubą, a krótką sierść tego zwierzęcia, wyrabiając z niej przedewszystkiem wszelkiego gatunku szczotki, począwszy od wielkiej do zmiatania podłogi, aż do drobnych szczotek do zębów.

— Ale świnie bywają też bardzo różne co do swego kształtu.

— Bo stosownie do tego, czy ludzie chcieli mieć z trzody więcej mięsa czy słoniny, wyhodowali sobie kilka odmiennych gatunków czyli ras. Z tych znane są ogólnie, o krótkich nogach, łatwo dające się tuczyć Yorkshiry, również zasługują na uwagę świnie węgierskie, których słonina uważaną bywa w handlu za najlepszą.

— Czem się żywi trzoda chlewna, proszę wujka.

— Świnia jest, w całym tego słowa znaczeniu zwierzęciem *wszystkożernem*. Począwszy od chwastów, a nawet korzonków ich, które swym ryjem wykopuje z ziemi, pożera chętnie wszelkie odpadki przy gospodarstwie, tuczy się na zbożu, grochu i kartoflach, zjada nawet mięso, jeżeli je raz pokosztuje. Niejednokrotnie też znajdowano w żołądku dzika czyli dzikiej świni resztki niestrawionej sarenki, lub innego zwierzęcia.

— Mój wujaszku, a gdzie żyją jeszcze takie dziki? — pytał zaciekawiony chłopiec.

— Pierwotnie znajdowały się w całej Europie, dziś tępione, dla licznych szkód jakie ich stada wyrządzały rolnikom, spotykane są jedynie w niektórych, bardziej leśnionych okolicach: Rosyi i Niemiec. Dzikie świnie czyli dziki lubią gęszcz leśny, szczególnie gdzie rosną stare dęby i buki, których owoce są dla nich wielkim przysmakiem. Oprócz naszego dzika, żyją jeszcze w Ameryce liczne odmiany dzikich świń, przeważnie jednak mięso ich nie jest jadalnem, trącąc przykrym zapachem piżma, a niebezpiecznie jest spotkać się z niemi, dla silnej obrony jaką im natura dała w ostrych kłach, któremi ciężkie zadają rany.

M. D.

OPOWIADANIE STARSZEJ SIOSTRY.

z angielskiego

M-ss MOLESWORTH.

(Dalszy ciąg).

ROZMAITOŚCI.

— Co podamy pięknej Złotowłosej do herbaty? — zagadnął Tomcio po jej odejściu.

— Mam pieniądze — zawołałam z dumą.

— Ja mam także — odparł Tomcio — ale co nam z nich przyjdzie, kiedy wyjść nie możemy.

— Żebyśmy chociaż mieli kwiaty dla przyozdobienia stołu — szepnęłam.

— Mimo to bułki nasze nie byłyby smaczniejsze — westchnął Tomcio.

— Pójdę do stryja! — Postanowiłam to. — Jesteśmy

w kłopotcie, ma więc sposobność dotrzymania danej obietnicy.

— Odważysz się? — spytał Tomcio.

— Naturalnie! I pobiegłam zastukać do pokoju stryja, w głębi serca sama śmiałością swą zdziwiona.

— Ach! to ty! — zagadnął mnie stryj — skończę za chwilę pisać i będę na twoje usługi.

Tym razem bez ceremonii zasiadłam przy kominku.

Po kilku minutach stryj złożył list w kopertę i zadzwoniwszy na Andrzeja, wydawał mu rozkazy tym stanowczym głosem, który mnie tak onieśmiał.

Ale zaledwie zwrócił do mnie twarz uśmiechniętą, strach mój uleciał bez śladu. Przystąpiłam zaraz do rzeczy.

— Pragnęlibyśmy kupić sobie ciastek do herbaty stryju, ale nie chciałam w niczem się rozporządzać nie odwoławszy się wpierw do ciebie.

— Dobrze zrobiłaś koteczko — odrzekł stryj — czy potrzeba wam pieniędzy?

— Pieniądze mam — żywo zapewniłam. — Nie to nas wprawia w kłopot.

— Czy się obawiasz, że Sara źle się ze zlecenia wywiąże? mogą ci to sam załatwić, jeśli chcesz. Ależ na czyją cześć ta uczta? Czy żeby Tomcia rozerwać, czy też lalki wasze wydają obiad proszony?

— Jaka ja też roztrzępana, że dotąd stryja nie objaśniłam! Spodziewamy się na herbatę pięknej Złotowłosej.

— Teraz pojmuję cel przygotowań. No, czego ci tam potrzeba?

Poczęłam wyliczać na palcach:

— Sześć pączków, sześć ciastek ze śmietanką i talerz pianek cukrowych, takich jakie mama sprowadzała z Londynu, kiedy miała gości na obiad. Są i białe i różowe i czekoladowe.

— I cóż więcej jeszcze?

— Niech stryj będzie łaskaw powiedzieć pani Gertrudzie, żeby nam dała dwie świeżutkie strucleki, jedna będzie dla pięknej Złotowłosej, drugą podzielimy między siebie. To już wystarczy. Świeże ciasto jest niezdrowe dla dzieci.

Stryj wybuchnął śmiechem.

— Zabawną jesteś! — zawołał.

W obawie jednak czy mi swym śmiechem przykrości nie sprawił, dodał natychmiast:

— Może chcesz iść ze mną do cukierni? Sama ciastka wybierzesz.

— Oh i owszem! — zawołałam.

Ale wnet się rozmyśliłam:

— Dziękuję stryjowi, nie pójdę; nie powinienam się tam wybierać bez braci.

Spostrzegłam w jego oczach, że mu się odpowiedź moja podobała.

— Dobrze — rzekł tylko — sprawunki sam załatwię.

— A pieniądze stryju!... Oto są moje, Tomcia, a te drobne dał mi Józio.

Stryj z całą powagą wziął, com mu podawała. Nie omieszkłam jeszcze dodać:

— Niech mi stryj powie, gdyby więcej kosztowało.

— To coś dała wystarczy — odparł.

Wesoła jak skowronek, wróciłam do braci oświad-

Skrzynka do listów.

Przyjemną nam była wiadomość udzielona przez *Sikorkę litewską*, że książka jaką otrzymała w nagrodę za wypracowanie konkursowe, służy jej za przewodnika w hodowli ulubionych przez nią kwiatów pokojowych. Chętnie też zastosowalibyśmy się do życzenia, odnoszącego się do twego pseudonimu, nie zawsze przecież dobre chęci wystarczają.

Z zadowoleniem, lubo przypadkowym sposobem tak późno odczytaliśmy życzliwe wyrazy *Muski latającej* i *Topolki* z nad Jody. Zdania szczerem uczuciem podyktowane są dla nas pożądanym dowodem przychylności i pamięci młodych korespondentek, a dary świętezące o szlachetnych serduszkach ofiarodawców, w porę zawsze dla potrzebujących przychodzą, w imieniu więc biednych dzieci calemu rodzeństwu podziękowania składamy.

Jadwisi T. nie godzi się przypuszczać, iżbyśmy chcieli krytykować jej robotkę, choćby nawet mniej udatną, ale w szlachetnym celu dokonaną. Krytykujemy z obowiązku i przekonania to, co jest rzeczywiście złem, ale podnosimy ze szczerem uznaniem zasługę każdego dobrego uczynku i popieramy każdą dobrą intencję. Nadesłane przez Jadwinę koszulki dla biednych dzieci świadczą, że pragnie pożytecznie pracować dla drugich, a dołączony rs. 1 jest dowodem, że w niesieniu pomocy bliźnim upatruje większą przyjemność, niżeli w dogadaniu własnym zachciankom.

Zosia Z. skoro raz o własnych siłach rozwiązała łamigłówkę sylabową, to już tego rodzaju zadania łatwiej teraz odgadywać będzie, w tem bowiem, jak we wszystkim, krok pierwszy najtrudniejszym zwykle bywa; chętnie też spełnilibyśmy jej życzenie, lecz to nie zawsze od nas zależy.

Otrzymaliśmy: *Arytmogryf* od *Rycerza* oraz kwadraty magiczne od *N.*, *W. S.*, *Jutrzenki* i *Figlarki* i umieścimy je o ile się do tego nadawać będą, nadmienając przytem, że lepsze i oryginalniejsze prędzej są drukowane, wiele bowiem odbieramy łamigłówek całkiem jednakowych.

Jaskółka zawsze chętnie spełnia żądania *Pliszki*, bo złe działania by się na świecie, gdyby tak ludzie, jak ptaki nie mieli dobrej woli w świadczeniu sobie przysług wzajemnie.

Z rodu i imienia pokrewnej mi *Jaskółce*, chętniebym chciała dopomóc w znalezieniu posady nauczycielki na wsi przez czas wakacji. Skoro przecież posiadasz patent ukończonego gimnazjum, mówisz poprawnie po francusku a co ważniejsza, ożywioną jesteś szczerą chęcią pełnienia sumiennie przyjętych na siebie obowiązków sądzę, że znajdą się może rodzice, którzy dla dzieci swoich pomocy takiej potrzebować będą, a jeśli zechcą odwołać się do nas w tej mierze nie omieszkać cię o tem zawiadomić.

W liście do Redakcyi wspominasz *Jutrzenko*, że pragniesz poznać się ze mną; życzenie to zachęca mnie do rozpoczęcia z tobą korespondencji, uczucie bowiem szczerzej sympatyj pociąga mnie zawsze ku młodym serduszkom, w których pewną jestem, że nie powstały dotąd fałsz ani obłuda, a przychylność nawet dla malej ptaszyny wypływa z potrzeby przywiązywania się do ludzi i istot otaczającego was świata.

Nie łam sobie głowy, *Figlarko* nad dochodzeniem osobistości mojej, niech ci wystarcza pewność, że jestem stworzonkiem szczerze dla młodych czytelników „Wieczorów” przychylnym i że jeśli nie na skrzydłach, to myślą uganiam się po świecie, szukając dla was najdrobniejszych ziarneczek mądrości Bożej, zdrowych zasad, pożytecznej nauki, pragnąc ten pokarm duchowy z wami podzielić i rozbudzić w duszach waszych zamilowanie prawdy i cnoty.

Jaskółka.

NA KOLONIE LETNIE ZŁOŻYLI:

Lilia wodna rs. 1. Urwisk z Pod. rs. 1. Stokrotka z Pod. rs. 1. Anđzia B. rs. 1. Jadwisia T. rs. 1. Bezimiennie rs. 3. Nucia i Elcia D. rs. 5. S. H. i E. rs. 3. Reginka dla biednych dzieci rs. 1.

czając im, że stryj Franciszek jest najmilszym z ludzi. Wkrótce stryj nadszedł, obładowany paczkami owiniętymi w biały papier, powiązanymi w różowe i niebieskie sznureczki. Prócz tego postawił na stole doniczkę kwitnącej, ponsowej azalii, mówiąc:

(d. c. n.)

SZARADA.

*Pierwsze z drugim rzecz smutna, co jednak człowieka,
Jako nieunikniona przed mogiłą czeka
Trzecie jest to zaimek, ale temu biada!
Co treść jego w swem życiu nad wszystko przekłada.
Wszystko razem wplecione w modlitwy gorące,
Powtarzają codziennie ust ludzkich tysiące.
Bo to imię najświętsze — wszędzie je spotkanie
Wśród kobiet — i na tronie i w wieśniaczej chacie.*

PRZYSŁOWIA.

Cz. s . tr. c. n. . n. g. d. n. a. . n. g. r. d. z. n. . .

L. n. w. dr. g. m z. w. dz.

S. m s. b. . dr. g. z. gr. dz.

Zastąpić kropki samogłoskami i odczytać znane przysłowia.

KWADRAT MAGICZNY.

ułożyła Czczotka dla Maryni K.

a	a	a	a	P	t	a	k	d	r	a	p	i	e	ż	n	y	.			
a	a	o	o	R	a	s	a	p	s	a	.									
w	w	z	r	N	a	z	w	i	s	k	o	k	r	ó	l	e	w	s	k	.
o	s	r	g	M	i	e	s	k	a	n	i	e	c	z	a	c	h	o	d	.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 18-go.

Szarady: Wiel — ka — noc.

Łamigłówki liczbowej:

Jubiler mógłby kamienie osadzić w następujący sposób:

8	7	6	5	4	3
8 × 8	7 × 7	6 × 6	5 × 5	4 × 4	3 × 3
1	2	3	4	5	6
		2	1		
		2 × 2	1 × 1		
		7	8		

L a o k o o n
P I e m o n t
S u W a ł k i
H a n O w e r
M i n o R k a
C y t r y N a
O n t a r i O